

ROZMAITOŚCI.

Dnia 25 września,

N^{er} 39.

roku 1847.

DON ŻUAN MORIQUE.

POWIASTKA Z ŻYCIA AKTORSKIEGO.

(Dokończenie.)

Jak piorun z pogodnego nieba, jak nocą uderzenie dzwonów na gwałt w chwili pożaru — obity się Moriqu'owi o ucho nieszczęsne słowa: »Na scenę!» On, zgubiony, bez zmysłów, na pastwę namiętnościom oddany, miał teraz wyjść na scenę, być tam wesołym, wlewać radość w serca, mając sam serce pełne boleści i jadu? Chwiejąc się postąpił o kilka kroków ku drzwiom i znowu stanął; inspicjent nastawał i naglił, bo już nie było ani chwili do stracenia. Co za walka wewnętrzna, co za okropne położenie Moriqu'a, kiedy to wszystko, co się stało, jakby czczą łuskę z siebie omusnąć, i na scenę wybiedz musiał!

Boleść i najwyższy stopień rozpaczyny miéwają niekiedy właściwy sobie humor wesoły, urągający życiu, światu, i całemu porządkowi natury. Jak w muzyce czasem dyssonancyje silne wrażenie czynią, i wśród najpełniejszej harmonii, do śmiechu pobudzają; tak i w tym razie, pierwsze Moriqua na scenie słowa: »O, jakże jestem dziś wesoły, jak uradowany!» z rozpasaną pustotą wymówione, wprawiły publiczność natychmiast w najweselszy humor. Coraz bardziej wznagało się zadowolenie, a tam, gdzie los nieszczęśliwemu, coraz więcej łatek przypinał, gdzie się okazuje, iż żona go zdradziła; grał Morique z taką prawdą, iż całe zgromadzenie nie posiadało się z radości. Nikt w tłumie nie miał wyobrażenia o wewnętrznym stanie tego człowieka, który tak z głębi boleści i rozpaczyny, złote ziarenka radości wydobywał. Każdy oklask był teraz olejem w płomień, który piersi jego pożerał. Nie było już świadoma, wymiarkowana gra, nie byłyto słowa poety, lecz wybuch okropnego humoru. Błyski radości i wesela, wzbudzone przez niego w publiczności; zwracały się paląc i niszcząc przeciw niemu samemu; nie mógł już grać, mówić dłużej, ziemia zachwiała mu się pod nogami, i w środ-

ku sceny, nie będąc już panem siebie, zatoczył się w kulisy.

Sufler wołał go nadaremnie; spółgrający stali milcząc i nie wiedząc, co począć dalej; wśród powszechnego zamieszania, spadła nagle zasłona. Publiczność nie pojmująca przyczyny tej przerwy, w najwyższym stopniu rozruszona, zażądała komiecznie dokończenia sztuki. Przypomniano sobie, iż Morique wzhraniał się grać tego wieczora; wielu widzom, którzy jedynie w nadziei nastąpić mających zamieszek do teatru przyszli, zdało się to być hasłem do spodziewanych rozruchów; zaczęto imię Moriqu'a wymawiać z oburzeniem, horda krzykaczy i wszystkie niespokojne głowy zawtórowały hałasem, i do tego przyszło, że aktor, co przed chwilą dowody najszczerszej życzliwości odbierał, teraz zewsząd gwizdanie przeciw sobie słyszeć musiał. Atoli cała ta wrzawa ledwie go już obchodziła; przemożony wypadkami dnia dzisiejszego, leżał prawie bez zmysłów na sofie, i ani słowa wyjąknąć nie mógł.

Nareszcie oznajmiła dyrekcya publiczności, iż Don Żuan Morique nagle zasnął, a sztuka dokończoną być nie może. Na to miała wrzawa na nowo powstać, gdy zarazem gruchnęła pogłoska, że Weronika z Mediano uciekła. Teraz wszystko się wyjaśniło, a ciekawa wiadomość ta rozbiegła się wiatru lotem pomiędzy wyższymi stanami i próżniaczą gawiedzią, dla której nie było tajemnicą, iż Mediano pod niebytność Moriqu'a, z piękną żoną jego się zaprzyjaźnił, i serce jej poblestwami sobie nakłonił.

Morique przyszedłszy nieco do siebie, pospieszył do domu, aby się ostatecznej pewności tam dowiedzieć, gdyż ciągle jeszcze nagabywały go powątpiewania o tak szkaradnej zdradzie. Wszakże była to prawda, okropna prawda! Zastał dom osieroconym, pustym, jak serce zbiegłej zdrajczyni... Na szczęście nadbiegł w tej chwili Jeronimo, który usłyszawszy o zaszłym wypadku, miał sobie za obowiązek pocieszać przyjaciela. Teraz dopiero uczył Morique wartość przyjaźni! Ze łzami w oczach rzucił się w ramiana Jeronima.

W pierwszej chwili oburzenia, wznowionego pier-

wszemi słowy do Jeronima, chciał on puścić się w pogoń za zbiegłym zdrajcą, chciał zażądać za-
dośćuczynienia od zwodziciela, i żonę mu odebrać,
aby się człowiekiem silnego charakteru okazał. Ato-
li po niedługim namyśle, ochłonał z tego zapału.
„Nie” — rzekł z goryczą — „niech ucieka; dość
wczesnie dosięże ją kara zasłużona. Dla mnie jest
to pociechą, że jej nie zachęcał, gdy się teatro-
wi poświęcić przedsięwzięła. Zdala od sceny, by-
łaby może została dobrą żoną, dobrą matką, by-
łaby zachowała czystość umysłu, który się skaził
pochlebstwem tłumy, hołdującego raczej zepsuciu i
rozpuście niż wzniosłej, świętej sztuce! Teraz ona
stracona na zawsze i dla mnie i dla sceny, której
byłaby w czasie ozdoba, ale już nią więcej nie bę-
dzie, gdyż nie masz nic bardziej dotkliwszego nad
kwiat umiety, który więdnie w każdej nieczy-
stiej dłoni.”

Jeronimo usiłował pocieszać przyjaciela uwagą o
uzdrawiającym wpływie, jaki czas na jego ranę
wyrze.

„Nie, nie!” — odparł Morigue z żywością. „Chy-
ba nie byłbym Hiszpanem; Hiszpan musi ko-
niecznie kochać albo nienawidzić. Mojem zaś hasłem
nienawiść! Tak, nienawiść całemu światu, który
mnie sam nauczył, iż tylko tą bronią można nad
nim odnieść zwycięstwo!”

Hiszpan przy najobojętniejszej okoliczności szum-
nych, olbrzymich słów używa; témci bardziej zda-
ły się one na miejscu w chwili najwyższego gniewu
w ustach człowieka, zawiedzionego w najdroż-
szych uczuciach serca.

„Nienawiść odtąd wszystkim” — zaczął Morigue
na nowo — „których los w objęcia teatru rzuci;
gdyż przy teatrze, nie masz przyjaźni. Spójrzij
tylko na tych ludzi, którzy ze sceny lud kształcić
i uszlachetniać mają, przypatrz się im dokładniej,
a przekonasz się, iż żyją jak Cyganie, nie pojmu-
jąc swojego powołania, które przecież tak szczytne
i spaniałe! Dawno już zgasł ogień święty na ołtar-
zu umiety, gdyż nieczyste dłonie pielęgnować
go nie zdolne. Natura jest bóstwem artysty, ale
tylko nieskalanemu oku ona widzialna.”

Jeronimo chciał go pojednać z stanem artystów,
sądząc, iż niepodobieństwem, aby ludzie hołdujący
sztuce, tak bardzo zepsuci byli. Jednak Morigue
nie dał sobie wspomnieć o pojednaniu; otrzymany
święto cios zanadto jeszcze bolał. „Dziękuj niebu!”
— zawołał nieszczęśliwy małżonek do przyjaciela
„iż oddałeś się sztuce, nad którą w zaciszy, samo-
tnie pracować możesz. Dobrzy malarze, jeżeli są
nimi, są niewątpliwie i dobrymi ludźmi; nie tak się
ma ze sztuką dramatyczną. Powiedz okiem woko-
ło siebie, i powiedz mi, czy ujrzyś gdziekolwiek
tyle wad i zgorzenia, jak pomiędzy zgrają akto-

rów. Żądza zatruwania sobie nawzajem życia, sta-
je się coraz powszechniejszą. Sięgnij na ślepo w ten
tłum, a obaczysz, czy przynajmniej jednego schwy-
cisz, któryby mógł powiedzieć o sobie: Mam czy-
ste sumienie, nie spotwarzyłem jeszcze nikogo, co
mi do wzniesienia się w wym wawodzie w drodze
stoi. — O, aż zanadto głęboko wpatrzyłem się w tę
otchłań zguby! Cożbym dał za to, gdybym był
nigdy nie poznał ludzi, którzy tam władną! Niena-
wiść, złość, fałsz — wszystko się tam wylega.
Nie w pracowni alchymistów, nie; w teatrze-to wy-
naleziono akwa-tossanę; zpod murów pierwszego
teatru wylał pierwszy padalec.”

Zdmiony tym spłonem namiętnego uczucia, wle-
pił Jeronimo wzrok w artystę, i nie mógł pojąć,
jakby ludzie, na których przecież piękność i
wzniosłość, w skutek ich powołania, silniej niżli
na innych działać powinny; do rzędu ostatnich wy-
rzutków mieli być policzeni. „Ale pominiemy oso-
bistości” — przejął wreszcie malarz — „czyż sa-
ma, chociaż nawet dziś znieważana sztuka, te-
go nie warta, abyś się całą duszą podźwignieniem
jej zajął?”

„Podźwignieniem sztuki!” przerwał żywo Morigue.
„O, sztuka jest piękna, boska, lecz ludzie,
tylko ją obalać, nie zaś podźwignąć dziś nmią. Ktoż
tu dba o sztukę? Kto ją ceni, zachęca i wspiera?
O, kto w imieniu sztuki przemawia, ten podnosi
głos na puszczy! Tylko szaleńcowi może się tu
marzyć o reformatorstwie; gdyż każde poprawcze
słowo zostanie zbezczeszczone, urągowskiem okry-
te. Nieszczęsny marzyciel ujdzie za buntownika w
oczach tłuszczy, bo jakże nazwać inaczej tę rzeszę,
która najmniejszej ofiary dla sztuki ponieść nie mo-
że? O, Jeronimo! Ileżto bezsensnych nocy nie
strawiłem jedynie z żalu nad tą zhańbioną, zdepta-
ną sztuką! Wszystkie owe poziome, nikczemne arle-
kinady, które już naszego nieocenionego *Carlo la
Torre* ze sceny wyгнаły, znowuż na jaw wycho-
dzą, a żaden głos przeciw nim się nie ozwie.
Nie tylko istotę wewnętrzną, ale porównaj i powierz-
chowość naszego teatru z jakimkolwiek teatrem za
granicą; co za brud, co za ponurość! Kupy gno-
ju i śmiecia leżą nieraz po tygodniu na kurytarzach;
dym z sygarów i zapach czosnku zapowietrzają
wnętrze, a dyrekcja — o, hańba jej, jak długo
stere przewodzić będzie! — dyrekcja wynajęła na-
wet niedawno w samym środku teatru miejsca dla
przekupuiów owoców, aby każdy mógł sobie zgnie-
łe pomarańcze i oliwy kupować, któreby na scenę
cisnęły za artystami, nie mającymi wziętości u mo-
tłochu!”

Tak w wyrzach najnamiętniejszego oburzenia
motał Morigue przekleństwa na cały teatr, i przy-
sięgał zemstę swoim nieprzyjaciółom, szczególnie
zaś Medianowi i Weronice.

„Nie!” przejął ze wzdrygnięciem Jeronimo. „Te-
go nie jesteś zdolnym. W tym razie twoja własna
szlachetność górę weźmie.”

„Niegdyś to, lecz nie teraz!” — odrzekł Mori-
que. „Dziś duch enoty we mnie stępiony, siła do
czego wyższego, omdlała.”

„Ależ twoje mistrzostwo, twoja sława!”

„Sława, zaszczyt, znaczenie? O, jakże chętnie
oddałbym to wszystko za jedną chwilę dawnego,
urojonego szczęścia? Wszystkie nasze olbrzymie
plany przynoszą nam wreszcie uśmiech litości w zy-
sku. O, litości też, i niewysłowionej litości go-
dzien człowiek, poświęcający się scenie! Niewdzię-
czność nagrodą jego; przy połowie tyłu trudów,
i usiłowań w innym zawodzie, została chlubą spo-
łeczeństwa, dumą społeczności i potomności!”

Dalej nie mógł już mówić Morique. Po chwili
ścisnął przyjaciela za rękę i rzekł: „Już późno;
idź, potrzebujesz spoczynku — ja go już nigdy
nie znajdę.”

* * *

Od owiej chwili upłynęło kilka tygodni. Morique
nie występował więcej na scenę; sam widok teatru
był mu nieznośnym. W dzień zamykał się sam na
sam, i tylko w nocy, kiedy chłodny wiatr górski
wiał ponad Madrytem, wychodził z swego pomiesz-
kania, i zaczerpywał świeżego tchienia, którego
tak był potrzebnym, gdyż jakaś gorączka wrzała
w nim ustawicznie.

Unikał ludzi, i wyglądał ponuro, jakby z całym
światem wziął rozbrat. Nie było już ów dawny
Hiszpau co wprzód, w jego wnętrzu kipiała
wściekła nienawiść ku Medianowi. Z tym samym
zapałem, z jakim niegdyś swą Weronikę kochał,
płonęła teraz jego złość przeciw wiarołomnej, któ-
ra tyle nieszczęść nań ściągnęła. Onato zniwe-
czyła spokojność jego życia; wydarła sztuce na-
technionego kapłana. Jeronimo dokładał wszelkich
starań, aby rozpedził chmury z czoła przyjaciela.
Ale jeśli mu się nawet powiodło wydobyć kilka
słów z niego, tedy były to zawsze same wyrzeka-
nia przeciw zdrajczyni lub przysięgi pomśzczenia
swego honoru. Często jednak udawał Morique,
jakby już o wszystkim zapomniał, a natenczas do-
ciekał w skrytości, w którą stronę wrogi jego ucie-
kły, gdzie żyją, i co na przyszłość zamysłają.

Jednego razu, wróciwszy późno w nocy do do-
mu, zastał u siebie na stole list od człowieka, któ-
remu wysłędzenie Median i Weroniki poruczył.
Z pisma tego dowiedział się, iż oboje przy teatrze
w Barcelonie są angażowani, i bardzo szczęśliwi
z sobą być się zdają.

„W Barcelonii!” — zawołał — „Ha, dobrze!
Tam więc moją ostatnią odegram rolę!”

Jakoż zaledwie kilka dni upłynęło, stanął Mori-

que pewnego wieczora w murach Barcelony. Sta-
rannie płaszczem osłonięty, udał się ku stronie te-
atru, gdzie właśnie, jak z nalepek po rogach ulic
wyczytał; świetne za kilka godzin odbyć się miało
widowisko. W pobliżności teatru postrzegł gospo-
dę, zapewne zwykłe miejsce zgromadzenia przed
widowiskiem; gdyż wielu młodych ludzi wstępowa-
ło tam, zmierzając do teatru. Wszedł tam i Mo-
rique, i zcicha siadł sobie w kącie.

Obszerna izba gościnna była napełniona ludźmi
wszelkiego stanu. Miedziana lampa u stropu roz-
sięwała niezbytnią jasność. Na jednym ze stołów
ujrzał Morique afisz, zapowiadający na dziś sław-
ny dramat Saracena, w którym Donna Media-
no miała grać Margaritę.

Szybko wychylił Morique przyniesiony sobie ku-
bek wina, i zażądał wkrótce, aby mu go powtór-
nie napełniono. Lubo wokoło głośnie wrzawa pa-
nowała, Morique nic ani słyszał ani widział, tak
gwałtownie zawrzało teraz w nim samym. „Za-
parła się nawet nazwiska!” szepnął zcicha, sam do
siebie, zaciskając wargę namiętnie.

Już chciał odejść, gdy wtem oblił mu się o uszy
głos jednego z gości, inspicjenta przy teatrze bar-
celońskim, uskarżającego się, iż nie może znaleźć
statystę, któryby grał Murzyna w ostatniej scenie
ostatniego aktu.

„Murzyna?” ozwało się radośnie kilku cieka-
wych.

„Tak jest. Rola wcale nie tak łatwa, jak się ko-
niecznie wydaje; ale ponieważ Murzyn ani słowa przy
tém nie mówi, lecz tylko jako niewolnik Saraceny
Margaritę sztyletem ma przebić; przeto nie chce
żaden z aktorów przyjąć tej ważnej, chociaż niemej
roli, a ja muszę szukać statysty, któryby przecież
w tak rozstrzygającym momencie, umiał znaleźć się
na scenie. Jest przy tém mała niewygoda, bo mu-
si sobie twarz poczernić; jednakże w teatrze to
z łatwością się dzieje; wszak tam jeden drugiego
czerni.”

Słowa te przeszły dreszczem Moriqu'a. Przy-
szła mu nagła myśl do głowy. Gdy większa część
gości od stołu się oddaliła, a inspicjent sam tyl-
ko został; zbliżył się Morique, i zagaik rozmowę,
w którą tamten natychmiast wejść się nie wahał.
Po kilku zapytaniach o Medianie i Weronice, kazał
Morique dać więcej wina, i rzekł: „Więcie co,
przyjacielu; pozwólcie mi dziś grać Murzyna w piąt-
ym akcie. Występowałem już nieraz dość do-
myślnie na teatrach prywatnych, i mam zamiar cał-
kiem oddać się scenie, jeśli obaczycie, że nie je-
stem bez jakiegoś talentu.”

„Ba!” ozwał się inspicjent — „mając tak py-
szną postawę i głos tak wdzięczny, można iuż
szczęścia próbować!”

„Otoż chcę to uczynić, byleście mi pozwolili

wyjsć dziś na scenę, i grać Murzyna, który Margaritę przebija. Komu innemu musielibyście za tę rolę zapłacić, ja wam chętnie daruję, co mi się za to należeć będzie.”

»Ha, dobrze» — odpowiedział tamten. »Oba na tém dobrze wyjdziemy. Próbę z pchnięciem sztyletu i innymi drobnostkami możemy później odbyć. Zresztą, jużem wszystko w roli najdokładniej oznaczył, więc nie będziecie mieli trudności.”

»Bynajmniej. Tylko o jedno was proszę. Wyznaczcie mi jakie ustronne miejsce, gdziebym niepostrzeżony mógł się poczernić i ubrać. Nie chcę bowiem, aby przyjaciele moi o tém wiedzieli.”

»Przy moim pulpicie za kulisami nikt was nie ujrzy. Dla ostrożności możemy ominąć główne schody, i wejziemy obaj tylnymi drzwiami, koło pracowni maszynisty.”

Morique zapłacił za wino, i nadał się z inspicjentem do teatru. Towarzysz jego przeprowadził go ciemnymi schodami obok garderoby damskiej, którą zcicha mu palcem wskazał. Morique stanął na chwilę i nie mógł oka od niej oderwać.

»Dalej, dalej, przyjacielu!» napomniał go inspicjent. »Jak widzę, radzibyście serdecznie do dan zajrzeli.”

Nie odpowiadając ani słowa, pospieszył Morique za inspicjentem, który z garderoby ubiór i farbę do poczernienia twarzy wyniósł. Podczas gdy inspicjent czynił przegląd, czy wszystkie rekwizyty są na miejscu, zaczął Morique czernić twarz sobie, aby go żaden z aktorów lub żona jego nie poznali.

W kilka minut był Morique gotów, a inspicjent przyniósł mu drewniany teatralny sztylet, olepiony srebrnym papierem. Z uśmiechem schował go Morique w rzęsiste przeguby swego stroju, i zaczął się za kulisami, z kąd mógł widzieć aktorów, znajdujących się już na scenie, dla rozpoczęcia sztuki. Wtém otworzyły się drzwi salonu, a wreszcie wyszła Weronika. Moriqu'owi zdało się, jakby mu sztylet serce przeszywał. Z wdziękiem i lekką myślą weszła Weronika w grono aktorów, którzy pochlebnie przemawiając słówkami, wokoło ją otoczyli. Tylko Mediana pomiędzy nimi nie było.

Wkrótce podniosła się zasłona, rozpoczęła się sztuka. Morique przysłuchiwał się każdemu słowu, uważał bystrzym okiem grających, widział śmiałych krykaczy, lecz ani jednego prawdziwego artysty nie ujrzał.

Po pierwszym akcie ośmielił się wyjść z swęj kryjówki. Śród śmiechów i żartów z aktorami, przechadzała się Weronika pomiędzy kulisy, przywiewając sobie chłódek wachlarzem. Gdy się zbliżyła do Moriqu'a, który z poczernioną twarzą wcale nie był do poznania, urwała się rozmowa; zda-

ło się, jakby jakiś przestrach kroki Weroniki powstrzymał; sami jej towarzysze to postrzegli.

Rozpoczął się akt drugi. Inspicjent wziął Moriqu'a uprzejmie na stronę, aby go niemiej jego roli wyczycić. Morique próbował wszystkie ruchy zakradania się, a na daną końcówkę, wykonał ruch pchnięcia z taką biegłością, iż inspicjent od szumnych pochwał wstrzymać się nie mógł.

Nie zważając na to, wrócił Morique na swoje stanowisko, i pełen niecierpliwości, ostatniego aktu oczekiwał. Już przedostatni się skończył, gdy Mediano nagle na scenę wstąpił. Weronika wybiegła naprzeciw niemu, i rzuciła mu się w objęcia,

Moriqu'a drzeszcz przejął, gdy to zpoza kulie obaczył. Pięść jego drgnęła mimowolnie ku sztyletowi; zdało mu się, iż nie wytrwa spokojnie w swojej kryjówce. Niespokojność, malująca się przy wstępie na twarzy Mediana, umiarkowała się cokolwiek, lubo wzrok jego zawsze niepewnie się błakał, jak u człowieka, który występek popełniwszy, w ręce sprowiedliwości popaść się lęka.

Tu ozwał się nagle dzwonek oznajmujący rozpoczęcie aktu piątego. Jak dzwonek grobowy uderzyły jego dźwięki o ucho Moriqu'a, a gdy zasłona w górę zaszleściła, zdało mu się, iż powiew śnierci po scenie przeciągnął,

»Wkrótce odegram moję rolę!» szepnął sam do siebie Morique. »Ha, to ona! patrz, wychodzi. O, idź tylko idź, są to ostatnie kroki twoje. My oboje po raz ostatni dziś występujemy. O, jestto strasne pożeganie! straszliwy dramat.”

Pełen takich ponurych, zgubnych myśli, przechadzał się Morique po najciemniejszej głębi sceny. Kilku zatrudnionych w sztuce aktorów, odegrawszy swe role, biegło do garderoby; inspicjent pokazał Moriqu'owi miejsce, z kąd wystąpi na scenę. Morique stanął tam pewną nogą, i czekał na ostatnie słowo, jako na znak wyjścia.

Weronika deklamowała właśnie monolog, w którym była mowa o wierności żony. Każde słowo z jej ust było olejem w płomień w piersiach Moriqu'a.

Jeszcze raz zachwiał się w krwawém postanowieniu, jeszcze raz zajaśniała mu w duszy iskra święta; lecz przyszła mu w myśl przysięga, a przynajmniej *on* żadnej przysięgi nie złamie.

I coraz bliżej i bliżej naochodziła stanowcza chwila... jeszcze tylko słów kilka monologu... aż oto stojący za Moriqu'em inspicjent spieszo nań krzyknął; »Teraz na scenę!”

Dzikim skokiem zjawił się Morique na scenie, i kurcząc się i skradając, podsuwał się ku swęj ofierze. Weronika, która go podług roli ujrzyć i przestraszyć się miała; wskrzyknęła istotnie przeraźliwym głosem, i wpatrywała się osłupiałym wzrokiem w Afrykanina.

Ale jej przestrach nie był to przestrach zwykły, udany; było prawdą istotną, rzeczywistość straszliwa! Publiczność wpatrywała się z niewysłowionem natężeniem, nie wiedząc, kogo ma więcej podziwiać, czy wylekłą Weronikę, czy statystę, który swą niema rolę prawdziwie po mistrzowsku odgrywał. Z drzeniem w głosie, z nawpół złomaną postawą, domawiała Weronika dalszy ciąg monologu, podczas gdy Murzyn ukrył się w krzaku, i jak gadzina żądłem mykająca, iskrzącem okiem pomiędzy gałęzi potyskał. W publiczności i za kulisami panowało powszechne zdziwienie, a gdy Weronika te słowa wyrzekła: »Tak, wielka wina ciąży na mojem sumieniu! O, jakże wielką grzesnicą jestem!« wtedy możnaby było brzęczenie nruszki usłyszeć, tak grobowe nastąpiło milczenie. Słowa owe pochodziły z najwnętrznieszej głębi skruszonej i żałującej duszy; te ruchy, te spojrzenia były samą prawdą, i głęboko też w serca widzów wniknęło ich wrażenie. Ale gdy Margarita, ostatnie wyrazy: »Precz! precz odemnie! niech będę wolną, chcę żyć jeszcze!« wygłosiła, wyskoczył Morique i utopił jej sztylet w serce.

Weronika zachwiała się, i złamana śmiertelnym bolem, padła po kilku krokach na ziemię, podczas gdy spuszczano zasłonę

Teraz cała publiczność grzmiącemi wybuchnątą oklaski, imię Weroniki zabrzmiało na wszystkich ustach; z łóż, z parteru, zewsząd przywoływano ją jednogłośnie, aby jej wyborną dzisiejszą grę uwieńczyć.

Posługacz przy zasłonie, słysząc nieustający krzyk publiczności, podciąga czempredziej zasłonę w górę; niezliczone wieńce i kwiaty spadły na scenę. Nagle jednakże ustają okrzyki, gdyż Weronika leży ciągle nieruchoma. Kilku aktorów, a z nimi Mediano przybiegają podnieść ją z ziemi. Ale, o, nieba! strumień krwi tryska z jej piersi, twarz blada, oczy zagasłe!

Wznosi się ogólny krzyk przerażenia, Tuż u stóp Weroniki leży sztylet, lecz nie ów teatralny, drewniany, ale ostry, stalowy.

„Dalej w pogoń za mordercą!“ ozwały się zewsząd głosy. — »Wydać mordercę« — dało się w téjże samej chwili słyszeć za kulisami. Straż sądowa weszła na scenę, i wołając:

„Trzymajcie go! To jest morderca!“ rzuciła się na Mediano, który trupa Weroniki w objęciu trzymał.

Ktoż zdoła opisać zamieszanie, które teraz nastąpiło! Publiczność krzyczała: »Precz, to nie ten! Kto inny zabójca! Ściągać zabójcę!« Reszta aktorów w raz z całą czeladzią teatralną, starała się uwolnić Mediano siłą z rąk sprawiedliwości, podczas gdy sam Mediano, wypuściwszy ciało kochanki

z objęć, odepchnął gwałtownie prześladowców swych od siebie, i zniknął.

Teraz rozpoczęło się nowe widowisko na scenie, nastąpił okropny, przerażający epilog. Wielu widzów wyskoczyło przez orkiestrę na scenę, gdzie dziś śmierć istotna rolę odgrywała. Wzięto inspijcyjenta surowo do odpowiedzi, aby nazwał po imieniu statystę, co grał Murzyna. On jednak przysięgał się i zaklinał, iż go nie zna, i że go nigdy wprzódy nie widział, że całe zresztą jego zjawienie się jest dlań zagadką.

Wyniesiono trupa. Pozrzucone na scenę wieńce i kwiaty, złożono tuż koło śmiertelnej rany. Weronika już nie żyła. Z opadnięciem zasłony teatralnej, spadła wieczna zasłona jej życia.

A cóż się stało z Moriqu'em? Jak szalony rzucił się po spełnionym uczynku w głąb sceny, okrył się płaszczem, i tylnymi drzwiami wybiegł na ulicę, nim jeszcze dowiedziano się o tym nieszczęsnym wypadku.

Drzący, z piersią ściśnioną, pobiegł ku portowi. Noc była ciemna, a wały morskie ciskając w górę kłęby piany, tłukły się z hukiem o brzegi. Tam przybiegłszy rzucił się na kolana i modlił się z najszczerzym żalem. Wiatr wył okropnie, i każde słowo jego modlitwy pochłaniał.

Już północ minęła, gdy krwawy mściciel swego honoru, udał się na okręt, przeznaczony do Minorki, mający nazajutrz rano odpłynąć. Kapitan nie troszczący się w owych burzliwych czasach o stan i nazwisko swoich podróżników, zwłaszcza jeżeli natychmiast płacili; kazał mu miejsce wydzielić. W godzinę później przybył na okręt jeszcze jeden podróżnik, i po długiej rozmowie z kapitanem, przysiadł w najstronniejszym zakątku okrętu.

Nazajutrz o świcie podniesiono kotwicę, i o kilkaset kroków od lądu odbito; gdy na brzegu okazało się kilku sług sądowych, domagających się wydania mordercy, który zapewne na okręcie znajdować się musi.

Kapitan odpowiedział, iż pod żadnym warunkiem nie nawróci, i bynajmniej na dalsze ich wezwania nie zważał.

Morique, słyszący rozprawę z służbą sprawiedliwości, nie był w stanie utrzymać się na nogach. Pragnął gorąco burzy, któraby okręt zniosła daleko na morze, aby już wieńz Barcelony nie widział. Życzenia jego wkrótce spełniły się; po niedługim czasie ujrzano się na wysokości morza — w górze niebo, na dole nieprzejrzana pustyni wodna. Ktoż zmierzzyłby ową przepaść uczuć, która w piersi Moriqu'a wrzała! Sen unikał powiek jego, a gdy wicher pomiędzy linami zawył, on z przestrachem ucho odwracał.

Już okręt był w pobliżu wyspy Minorki, gdy się gwałtowna wzmogła burza. Niebo zasunęło się

czarnemi chmurami, fale morkie bijąc z łoskotem o ściany okrętu, piętrzyły się niesłychanie wysoko.

Cała osada pracowała nad zabezpieczeniem okrętu i słuchała w milczeniu rozkazów kapitana. Tylko gromy przerywały ciszę, a błyskawica noc rozjaśniała. Z gniewem gromu zaczęła wreszcie szmerać także osada, gdyż wmiechał się w to zabobon.

„Precz z mordercą! Precz w morze z mordercą!” ozwał się nagle jeden majtek, ktoremu wszystkie reszta okropnie zawtórzyła: „W morze z komedyjantem! W morze z mordercą!”

„Jestem zdradzony!” — jęknął Morique, i chciał już sam się wydać, gdy wtém przystąpił doń kapitan, i opowiedział mu, iż na okręcie znajduje się aktor, który w pojedynku, pewnego Walencyjania zabił.

Burza wrzała wciąż z równą gwałtownością, a okręt został naraz przez połowę w wodę bokiem zanurzony. Wówczas ozwał się jeszcze raz okrzyk: „W morze z mordercą!”, i już się zgraja majtków ku kajucie rzuciła, gdy nagle straszliwy piorun uderzył, a żółty, siarczysty promień błyskawicy, okropnym blaskiem cały okręt oświecił. Toż za piorunem i błyskawicą dał się słyszeć przeraźliwy, powszechny krzyk rozpacz. Okręt rozbił się, i był już tylko igraszką wichrów.

Morique został w głąb pogrążonym. Ale olbrzymi bałwan wzniosł go znówuż na wieżch. W tój ostatecznej chwili uchwycił się roztrzaskanego beleka, którego już się jeden z rozbitków był uczepił. Wpół zgruchotany belek nie był w stanie unieść obudwóch. Jeden więc ustąpić musiał, a ustąpienie to było śmiercią. Wtém nowe błysnięcie zjawiło okropną scenę. Morique rozpoznał w połysku burzy towarzysza swojego: było — Mediano.

Obaj podnieśli wzajem ramiona do śmiertelnej walki, lecz rozhukany żywioł przyjął sam na siebie pośrednictwo między nimi, i jakby w gniewie, górą spieniowych bałwanów, przywalił zapasników. W oka mgnieniu zamknęły się fale wiru ponad ich głowy, i otworzył się grób obudwom w okropnej bezdnie.

① matkach i mamkach.

Od niezbyt dawnych czasów wkraśl się w życie domowe zgubny zwyczaj, który niestety coraz bardziej się upowszechnia. Zdaje się, jakby niedopełnianie najpierwszych i najświętszych, samą naturą przepisanych obowiązków macierzyńskich, miało stać się zasadą naszych tegoczesnych matek. Co niegdyś tylko w wyższych klasach społeczeństwa, z istotnie ważnych przyczyn lekarskich się zdarzało; dzieje się teraz we wszystkich prawie stanach;

to jest: nowonarodzone dziecię — które pewien wielki poeta „najwyższym skarbem rodziców” nazwał — bywa już nie u własnych piersi matczynych, lecz w ręce najetęj mamki, do wykarmienia składane. Jeden z najświetlejszych lekarzów niemieckich w nowszych czasach, dr. Pierer, mówi: „Karmienie nowo-narodzonego dziecięcia przez własną matkę, jest dla obojga głównym warunkiem zdrowia, i tylko w razie szczególnych chorobliwych przypadłości w karmieniu można się uciec do mamki.” Ale ileżto matek bierze sobie tę zasadę do serca, ileż zważa na codzienne nawet doświadczenie, które przecież tyle smutnych przykładów nam nastęrcza? Jakże boleśnie przychodzi wyznać, że większa połowa dzisiejszych matek z niegodnej próżności, dla wygody, z kokieterji, i tysiąca innych powodów, których nawet wymienić nie śmiemy; od pierwszego, arcyważnego obowiązku macierzyństwa, uchylić się stara. Ktoż może taką matkę szanować, która będąc zdrową i siłą, już tēm samem dziecięciu swemu pierwszy dowód nienaturalnej oziębłości daje, że mu oczéwistego warunku do zdrowia, samą naturą przeznaczzonego dziecięciu pokarmu odmawia? Alboż taka matka mniema, iż zboczeniem z drogi, którą sam porządek natury wytknął, zdoła swe zdrowie zachować? Przypatrzmy się onym kobietom, które swych obowiązków macierzyńskich ściśle i dosłownie dopełniają, a obaczmy pomiędzy niemi same zdrowe, czerstwe, rumiane istoty; podczas gdy w kole naszych salonowych matek, po większej części chorowitość, migreny, spazmy, nienaturalna drażliwość, i trupia bladeść jak zaraza graeują. I jestże dla męża i dla ojca jakikolwiek wznioślejszy obraz, nad matkę z niemowlęciem u piersi, pieszczącą ten dar niebios, i dziękującą opatrności za łaskę, iż jej dozwoliła być matką w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu. A jakże wcale inaczej musi myśleć i czuć małżonek, który swoje młodą, zdrową żonę słyszy przy toalecie tylko o wizytach, wieczorach i szuagnych zabawach mówiącą, bez najmniejszej troski o kilkotygodniowe dziecię, powierzone opiece nieznanęj, chciwęj piastunki? Nie potrzeba wiele fantazyi, aby dotkniętym tu scenom nadać więcej barwy i życia; gdyż mimowolnie natrąca się myśl, iż małżonek tamtęj kobiety, idąc za popędem uczucia, matkę i dziecię w ramiona ujmie i, przyciśnię do serca, które tylko dla nich obojga bije; gdy przeciwnie małżonek tēj damy, sprawioną sobie w duszy postępowaniem' jęj czezość i próżnia innemi przedmiotami i uczuciami, zapełnić zechce. Nie tu miejsce rozwozić się obezernięj nad fizyczną i moralną szkodliwością powierzania dzieci najetęj mamkom do karmienia; kto się o tēm doktado jęj przekonac' pragnie, niech weźmie do ręki pisma nieśmiertelnego Hufelanda. My tylko mimocem lodem kwe-

stycję tę potrąciwszy, kończymy zdaniem dra. Ossian-dra: »Radzę usilnie, aby matki same dzieci karmi-ły, a strzegły się lekkomyślnego wyręczania się mamkami.«

Wiadomości literackie.

Z *Le w o w a*: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Wła-ność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 38my i zawiera: 1) Marcelgo Dłużniewskiego: O chłodze-niu brzołki i odpowiedniemi urządzeniu chłodnika. Z ryci-nią. 2) Rzecz o lasach dla właścicieli la-sów i urzędników ich. (Ciąg dalszy). 3) Przegląd książki: Rozprawy c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodar-skiego. (Dokończenie). 4) Od czego zawist pożyteczny chów owiec? 5) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Dziennik mód paryżskich pod redakcją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 20ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Nowsze powieści polskie. (Ciąg dalszy). 2) Pierwsze przedstawienie Hamleta. Poemat dramatyczny w czterech częściach, (Ciąg dalszy). 3) Księżniczka Mery. Wyjątek z dziełnika oficera rosyjskiego w garnizonie na Kaukazie. (Ciąg dalszy). 4) Rozmaitość.

Zabezpieczenie od arszeniku! Pewien angielski chemik wynalazł proszek, który w tej setnej części do arszeniku przymieszany, w każdym razie widocznie dostrzegalnym go czyni. I tak np. niech tylko kilka ziarenek zaprawionego tym proszkiem ar-szeniku w potrawie się znajdzie, natychmiast cała potrawa inną barwę przybierze. Wynalazca radzi zniewolić aptekarzy, aby odtąd arszenik tylko tą o-chronczą substancją zmieszany sprzedawali.

Nadzwyczaj wielkie dagerotypy są teraz w Londynie na widok wystawione. Przywiózł je z Północnej Ameryki niejaki pan Highschool, profesor chemii w Bostonie. Ze wszystkich obrazów odznacza się najbardziej widok wodospadu Niagary, dający po raz pierwszy dokładne wyobrażenie tego spaniałego widowiska natury. Według doniesień znawców, zbli-ża się ten dagerotypowany wodospad więcej niż jakikolwiek podziśdzien znany obraz do rzeczywistości. Inną jego zaletą jest, że na tym dagerotypie można po raz pierwszy podziwiać naturalne kolory, z wpływu samego słońca utworzone. Jak to się dzieje, jeszcze dotychczas niewiadomo; lecz naturalny ten koloryt ma się tak dalece różnić od sztucznego, jaki dotąd niektórym dagerotypom nadawano, że za jednem spoj-rzeniem odmianę tę poznać można.

Olej z kamienia. Jeszcze przed kilka laty u-dzielono akademii francuskiej wiadomość o wyrabia-niu oleju z pewnego rodzaju kamienia. Odtąd nie za-niechano tej szczególnej gałęzi przemysłowości, lecz starano się ją zeicha wydoskonalic; co teraz do tego stopnia się powiodło, że już towarzystwo akcyjona-ryjuszów w tej mierze się zawiązało. Olej jest czy-sty jak kryształ, pali się wybornie, i ma tę wła-ność, iż nie płami. Zarazem jest on o połowę tań-szym od wszystkich innych materiałów oświetlania. Pominione towarzystwo posiada w okolicy miasta Autun nieprzebrane pokłady tego kamienia, z które-go zresztą wiele jeszcze innych wyrobów zyskiwać można, jak mianowicie: tłuszcz, dziegieć, wodę a-

moniakową, pewien rodzaj nawozu i t. d. W ten sposób martwa, nieużyteczna masa gładów, zamie-nia się naraz w najobfitszą kopalnię skarbow domo-wych.

Tylko jeden ojciec-nasz.

»I czego żadna mądrość mędrców nie odgadnie, Tém dowolnie prostaczka czysty umysł władnie.« mówi Szylner. Każdy może to znać i wyrzec, lubo nie tak pięknie jak nieśmiertelny poeta, a pewien sta-ry żołnierz także to po swojemu sprawdził. Był on jednego razu uspowiedzi, gdzie otrzymał rozgrzesze-nie i błogosławieństwo kapłańskie, lecz pod warun-kiem: jeżeli przez cały tydzień codziennie po 10 ojce-naszów odmawiać będzie. Gdy mu spowiednik dał już znak do odejścia, stary wojak jednak się z miej-sca nie ruszył, jakby jeszcze czegoś oczekiwał. Za-pytał go więc spowiednik: »Czemuż nie idziesz? Wszakże słyszałeś, co masz czynić.« Na to żołnierz: »Ba, kiedy dobrodziej kazali mi 10 ojcie-naszów co-dziennie odmawiać, a ja tylko jeden umiem.«

O nastaniu czerwonych czapek jakobiń-skich opowiada Lamartine w swojej »Historii Ży-rondzistów:« Skazani za rozruch w Nancy, a do Bre-stu na galery deportowani żołnierze szwajcarscy, mieli owe czerwone, galerowym więzniom właściwe mycki na głowie, gdy ich uroczyście do sali reprezentantów narodu wprowadzono; i dla uczczenia ich przyjęli Jakóbinie te czapki. Jestto zresztą zwyczaj-ny strój rybaków u wybrzeży morza śródziemnego. Dla tego wywodzono ich nastanie w Paryżu od Mar-sylczyków, którzy jako sprzymierzeńcy do stolicy wkroczyli. Atoli już przed wejściem Marsylczyków była czerwona czapka znamięm stronnictw. Pamie-tną rzeczą jest, iż Robespierre z początku zaprow-wadzeniu tak nieprzyzwoitego stroju się opierał, pod-czas gdy właśnie Żyrondziści, po których przecież więcej smaku spodziewać się należało, za przyjęciem tych czapek byli.

Klasyfikacja szulerów. Francuzki pisarz Carbonnel wydał zajmujące dziełko pod napisem: »*Physiologie de Bade-Bades*«, w którym tamecznych szu-lerów z rzemiosła na 8 następujących klas dzieli: 1) *Le comptable* — wyczony, przynajmniej pięćdziesięcio-letni, przezorny, systematyczny, po dziesięć godzin od zielonego stolika nie wstający szuler. 2) *Le Ca-rotour*: ten zdaleka czatuje, na pozór tylko obojętnie, w roztarguieniu się przygląda, i jedynie według ra-chny prawdopodobieństwa, to jest: gdy np. przez długi czas czerwony kolor padał, na odmiemy kolor siewia, w razie pomyslnym z wygraną znika i nigdy wiele nie ryzykuje. 3) *Le tapissier* spada nagle jak bomba na stoł, i stawia od razu na bardzo wiele nu-merów — zazwyczaj jakiś bogaty Rosyjanin albo An-glik. 4) *Les associés*. dale o posledniejsza klasa szu-lerów, przybywających jako poważni, w podeszłym wieku panowie, niby tylko dla kąpiel i wywczasowa-nia się po uciążliwych zatrudnieniach obowiązkowych, lecz właściwie dla polowania na młodych, majątnych fryców. 5) *L'indifferent*, obojętny, przybywa zazwy-czaj z damami, udaje jakby nie umiał grać, a gra-jąc, jakby mu na zysku lub stracie zupełnie nie za-leżało. 6) *Le joueur magnifique*; książę, magnat, pan milionowy, który rzeczywiście z najarystokratyczniej-szą oziębłością tysiące za okno wyrzuca. 7) *Le cas-se-cou*, namiętny gracz, który zazwyczaj wszystko traci, i gdyby mógł, żonę, dzieci, wolność i życie na kartęby postawił i przegrał. 8) *Le joueur inist-ble*, niewidzialny, powszechnie jakiś młody, bogaty panicz, który ze wstydlivosti lub innych względów

komu innemu za siebie grać każe. Szulerujące kobiety opuścić autor przez delikatność; bywają to bowiem najobrzędliwsze typy szulerstwa, bez żadnego odcienia zabawnego.

Bardzo przyjemnym napojem, który nawet wielu chorym polecono być może, jest musująca woda cukrowa. Przyprawia się ten trunek następującym sposobem: Bierze się pół wiadra i kilka kwart wody, i gotuje się z cztero funtami białego cukru. Następnie daje się temu płynowi aż do 18 stopni R. ostygnąć, i przymieszawszy do niego 2 kubki dobrych drożdży piwnych, napełnia się nim półwiadrową beczkę, która w chłodnej piwnicy stać powinna. Po niedługim czasie znacznie woda robić, przyczem drożdże szpuntek wyciekają. Sprawiony tym bytek w beczkę, wynagradza się dolewaniem pozostałej reszty cukrowego roztworu, utrzymując beczkę zawsze tak pełną, aby drożdże wyciekać mogły. Gdy już wyciekać przestaną, zatyka się mocno beczkę i zostawia ją tak dni kilka. Jeżeli cukrowego roztworu nie nie zostało; można ubytek drożdży w beczkę czystą wodą zastąpić. Po kilku dniach należy zagałdnać, czy robiący napój zupełnie się wyklarował, a jeżeli się to stało, ściągają się go do butelek. W każdą butelkę potrzeba wprzód pół łata białego, w kawałki porąbanego cukru włożyć, każdą starannie zakorkować, smołą oblać, i w chłodnej piwnicy ustawić. W przeciągu kilku dni, bywa napój gotów do picia, musuje przy odkorkowaniu butelki jak najlepsze wino szampańskie, i nieraz sam przy otwieraniu korków wytrąca. Ztego też powodu powinny butelki być z szkła grubego, gdyż inaczej często pękają; najprzodniejsze są butelki z szampana. Chcąc napojowi jeszcze przyjemniejszego smaku nadać, potrzeba tylko do świeżo nalanego beczki wrzucić skórkę z dwóch cytryn, i tym podobne przyprawy.

Dzielone konie. Książę Pückler-Muskau opowiada w świeżo wyszłym drugim tomie swego »Pamiętnika«: Jednego razu obaczyłem na bazarze bardzo piękną klacz arabską i chciałem ją kupić. Oprowadzający ją Arab nie był temu przeciwny, lecz wkrótce okazało się, iż moja klacz miała dziesięciu właścicieli. Jednemu należała głowa, drugiemu ogon, trzeciemu przednia noga, czwartemu zadnia i t. d. Ponieważ jednak wszyscy ci właściciele z trudnością odszukani, a jeszcze trudniej w żądaniach swoich zaspokojeni być mogli, przeto musiałem wyrzec się przyjemności nabycia klaczy. Ten u niektórych plemion arabskich panujący zwyczaj, utrudnia niesłychanie kupienie dobrego konia. Przełożony miejscowy opowiedział mi, iż często Europejczycy, mówiący bardzo płynnie po arabsku i przebrani za Beduinów; po całych miesiącach dla kupna jakiego kosztownego rumaka w tamtych stronach bawili, a wreszcie z niczem wracać musieli.

Podróż napowietrzna w Azji. Dnia 9go lipca r. b. francuzki areonant Rosset, odbył podróż napowietrzną w Bagdadzie, przy napływie nadzwyczajnie licznej publiczności. Zdumieni Osmanowie wołali nieustannie: »Wielki Ałlah! Wielki Ałlah!« — a gdy wznoszący się areostata leciał w niebo, zupełnie już z oczu im zniknął; wszyscy na jakiś czas

w głębokie zapadli dumanie. Tymczasem spuścił się pan Rosset o dwie mile od Bagdatu, nad brzegami Tygru na ziemię, ale niespodzianie w niemałe popadł niebezpieczeństwo. Podczas bowiem gdy jedni z okolicznych wieśniaków jako mniemanemu z księżycy gościowi, największą część mu oddawali, kilku fanatyków, pod wodzą mahometańskiego mnicha, zabrało się do Francuza, aby spaleniem mu prawej ręki, wypędzić zeń złego ducha, który po powietrzu go nosił. Na szczęście przecież znalazł się w pobliżu aga paszali, który areonantem od tej duchownej praktyki ocalił.

Nowy sposób pozyskania serca kochanki. Paryżkie dzienniki opowiadają: Młody D. zakochał się namiętnie w pięknej pannie de S., która jednakże najoziębliej uczucia jego przyjmowała. Wszelkie zwyczajne środki, jakoto: liściki, kwiaty, przysięgi — nie zdołały wzruszyć srogięgo serca. Nareszcie powziął kochanek myśl rozpaczliwą. Przebrał się za posługacza, i odniósł pannie swój własny list, w którym pisał, że okrucieństwo jej stało się przyczyną jego śmierci, i że chyba w trupiarni samobójców, po raz ostatni widzieć go może. — »O, nieszczęśliwy!« — zawołała panna S. »Więc istotnie tak szczerze mię kochał! Ach, może jeszcze czas ocali go!« — I nie chcąc słuchać ani słowa, wybiegła z domu ku mieszkaniu kochanka. Pan D. zaś, widząc się sam na sam z pokojówką, użył znanego środka złotego, i njął sobie dziewczynę. — Po upływie godziny wraca panna S. smutna, niepokieszona. »Już za późno!« — zawołała do pokojówki. »Nieszczęśliwy wyszedł przed moim przybyciem... Pospieszyłem do trupiarni, lecz nie śmiałem wejść do środka.« — »Ach, gdybyś pani wiedziała!« — przerwie pokojówka zadyszana. — »Cóż?« — »Oto przed chwilą przynieśli tu rybacy jakiegoś młodego pana, którego przy moście austerlickim z wody wyratowali, a który jakies nazwisko wymawiał...« — »Moje! O, nie! To on! W śmierci jeszcze o mnie wspominał. Ach, prędzej, prędzej, trzeba go ratować...« — »Ciacho!« — przejęła pokojówka — »Spi... a sen może go ocali.« — »Ach, obyż to Bóg dał!« — I dał to Bóg rzeczywiście. Pan D. odegrał wybornie swoją rolę odratowanego topielca, a panna S. wyznała mu ułoża, iż tyle miłości przemogło wreszcie jej wstręt do niewoli zameczia.

Nieco do lingwistyki. Pewnego naturalistę, znanego z uszczypliwych ucinków, zapytała piękna ale zalotna dama: Który też język najwyrazistszym mu się wydaje? »Niewątpliwie włoski« — odpowiedź uczony — »gdyż ze wszystkich języków, on jeden ma słowo *Bella dona*, oznaczające »piękną kobietę« lecz oraz najzjadliwszą truciznę.

Eleganci liczni. W opisie podróży po Ameryce północnej, ogłoszonym przez pewną damę angielską, czytamy: »Modnie nowego świata noszą broń, w którejby się ptaki wygodnie gnieździć mogły; z pomiędzy czarnego zarostu wyflęska sygare, jak błędne światło przy szuwaru w nocy; każdy z tych jegomości wlecze się błądy, schorzały po ulicach, i wygląda doprawdy jak rozbójnik bez służby.»